

Podróż do Szwecji, 1967 r.



Palac Tyresö, fot. Flickr

Teresa Fabijańska-Żurawska

Z teki globtrotera

Pięć dolarów amerykańskich wykupionych w Narodowym Banku Polskim, wprawdzie za własne pieniądze, ale na specjalne zezwolenie z Ministerstwa Kultury i Sztuki, zielony paszport z literą „S” i prywatne zaproszenie w kieszeni. Lecę samolotem Polskich Linii Lotniczych, na ministerialnym miejscu, prosto za morze, do Sztokholmu. Dreszcze po plecach mi chodzą, emocja ogromna, boć to pierwszy raz do kraju, jak się u nas mawiało, zgniłego kapitalizmu. Jaka ta Szwecja jest? - znana mi dotąd z ponurej raczej literatury i z filmów Ingmara Bergmana.

Kraj Augusta Strindberga, genialnego Frödinga. Dana Andersona, Sjöberga i współczesnego nam Svena Stolpe, pisarza katolickiego, którego kilka książek po polsku wydał przed laty Instytut Wydawniczy PAX. No, dobrze, literatura, sztuka, ale jacy są zwykli ludzie, jak żyją tam, na północy, w odmiennym, zimowym klimacie, w ponurości tak wielu miesięcy w roku, a przecież także w kraju białych nocy i zorzy polarnej.

Odlatywałam trzydziestego czerwca, a więc czekały mnie białe noce. Z duszą na ramieniu wysiadałam z samolotu, cała w lęku, bo może moja depesza nie dotarła, może za późno, może nie zdążą dojechać z Mjölby do Sztokholmu. Jakoś o

pieniądze nie martwiłam się, nieświadoma znikomości sumy, którą pozwolono mi wywieźć za pokwitowaniem bankowym na różowym druczku.

Miałam mnóstwo szczęścia, już na lotnisku Arlanda dojrzałam wysoką sylwetkę barona Axela Hermelina, wypatrującego małej ogłupiałej Polki. Radość powitania i spokój w duszy. Jedziemy oplem Olimpią o metalicznym, niebieskim kolorze, ze skórzanymi siedzeniami, bardzo szerokimi i bardzo głębokimi. Ugrzęzłam w miękkościach przyciśnięta pasem bezpieczeństwa. Ruch niesamowity, czteropasmówki pełne mknących aut, a wszystkie na światłach, chociaż było jeszcze jasno. Patrzyłam na migające osiedla podmiejskie, wtopione w zieleń lasów, na światła kolorowe drogowskazów, wreszcie w mieście na barwy ogromnych, ruszających się reklam. Byłam jak w bajce. Siedziałam cichutko, bo mi się wydawało, że śnię i za chwilę ukaże się moja szara, socjalistyczna ojczyzna, przyciemnawa, i co tu dużo mówić, dość niechlujna.

Wypatrywałam dla przekory i satysfakcji domów odrapanych lub przynajmniej nie tak jasnych, nic z tego, wszystko nowiutkie, jakby dopiero wczoraj wybudowane. Przyjechaliśmy do nowego osiedla domów willowych, gdzie mieszkał syn mojego gospodarza z młodą i śliczną, nowo poślubioną żoną. Przyjęli nas bardzo serdecznie i podjęli kolację, która u nich, jak we Francji, nazywa się obiadem.

Jadalnia była niewielkim pokojem przy kuchni, stół długi z grubym blatem drewnianym i bez obrusa. Pod naftową, wiszącą lampą stały przepiękne kwiaty ułożone na wzór holenderskich obrazów z siedemnastego stulecia, a więc wszystko, co dało się zerwać w ogrodzie u końca czerwca. Kompozycja była artystyczna, wielobarwna. Każdy z nas dostał podłużną matę, talerz drewniany i serwetkę z obrączką. Wniesiono pieczone ziemniaki w mundurkach i miskę z masłem, w której tkwiły drewniane noże. (Po dzień dzisiejszy takich używam, bo są wspaniałe). Aha, były widelce. Nakłuwaliśmy kartofle i małymi nożykami usuwaliśmy skórkę, a potem drewnianym nożem nakładaliśmy obficie masło. Pycha, zupełnie jak przy ognisku we własnym kraju. A potem wjechał deser – truskawki okazałe, polane suto śmietaną, posypane migdałami i tartą czekoladą. Panowie popijali piwko, panie dostały soczek. Wino czerwone podano w salonie, przy kominku.

Rozmowy dotyczyły Polski, jej zależności politycznej, co gorąco kwestionowałam (idiotka!) tłumacząc, że to nie zabory, że mówimy po polsku, są szkoły polskie, dzieci się uczą po polsku i starannie języka ojczystego. Zadano mi pytanie: co to

jest patriotyzm? - z miejsca sugerując, że ojczyzna jest tam, gdzie się mieszka i miewa dobrze. Zaprotestowałam gorąco. Moje drzewa, moje jeziora, moja bieda - to właśnie moja ojczyzna, gdzie wcale nie musi być tak bardzo człowiekowi dobrze, nawet raczej źle, ale TO jest właśnie moja OJCZYŻNA. Pokiwali głowami udając, że rozumieją. Kurtuazja szwedzka nakazywała przywołać historię i Katarzynę Jagiellonkę, kobietę odważną i godną podziwu, która dała Szwecji dynastię. Już poczuliśmy się jak w rodzinie. Moja kurtuazja, w domu gospodarzy nakazała mi milczeć o wizytach, jakie przed laty złożyło nam wojsko szwedzkie, zachwycone bogactwem Sarmatów, łupiąc wszystko, co się dało. Do dzisiaj w muzeach szwedzkich najpiękniejsze eksponaty: rzędy końskie, broń, czapra - to polskie wyroby artystyczne lub z Polski pochodzące. Szwedzi wzięli sobie z Polski także wzór dworu, pałacu szlacheckiego, nie magnackiego, bo u nich nigdy magnaterii nie było: szlachta i dwór królewski. Żyli dużo skromniej niż niejeden szlachcic na zagrodzie, ale poziom życia był stosunkowo wyrównany. Dało to im podstawy do obecnego powszechnego dobrobytu.

W tym bogatym kraju zobaczyłam czerwone, drewniane domy wiejskie lub letniskowe, tzw. dacje, wesole, błyszczące czystymi szybami dużych okien bez zasłon, wewnątrz proste, z gładkiego, pełnego drewna sprzęty, często lampy naftowe, bo dawały nastrój, podobnie jak kominek. Szwedzi cieszą się uciekając od cywilizacji. Archipelag w pobliżu Sztokholmu skalisty słabo porośnięty sosną, jest ulubionym miejscem spędzania weekendów i wakacji. Woda cudownie czysta, szmaragdowa, ale zimna. Trzeba umieć pływać bardzo dobrze, bo wszędzie są skały, z których skacze się wprost na głębokie wody.

Sam Sztokholm, dzięki wodzie, która wciska się tu i tam dość głęboko w ląd, nie licząc części portowej, jest miastem dostojnym i solidnie zabudowanym, można powiedzieć ładnym i malowniczym, z półwyspami i wyspami okalającymi starszą część. Oczywiście starówka z wąskimi uliczkami o starych brukach, chronionych na pamiątkę. Wysokie, wąskie kamieniczki swymi zdobnymi szczytami przypominają jako żywo, Amsterdam, a także nasz Gdańsk. Piękne położenie ma ratusz miejski, z dwóch stron oblany wodą, z wieżą w narożniku, jest miejscem napływu licznych turystów, ponieważ tu zwiedza się wspaniałe sale do uroczystości nadawania Nagrody Nobla. Największa sala o ścianach wyłożonych mozaiką z małych złotych kosteczek, robi chyba najbardziej szokujące wrażenie. Myślę, że oprócz licznych muzeów, z ich cennymi zbiorami i oczywiście zamku królewskiego, udostępnionego w dużej części (apartamenty Bernadotte'ów) z

przeniesionym niedawno Livrustkammaren (Zbrojownią królewską) warto i trzeba koniecznie zobaczyć skansen sztokholmski.

Jest on skrzyżowaniem lunaparku z wesołym miasteczkiem prowincjonalnym, ogrodem zoologicznym, salą koncertową na wolnym powietrzu, warsztatami rzemieślniczymi z ubiegłego wieku i muzeum. Rodziny z dziećmi wybierają się tutaj na cały dzień, by spędzić go atrakcyjnie, każdy według woli i gustu. Organizacja ruchu, informacja i usługi są doskonałe. A zwiedzać można drewniane domy i ферmy wiejskie, miejskie, małomiasteczkową zabudowę, np. aptekę z domem farmaceuty, można zobaczyć hutę szkła i nawet na oczekaniu zamówić drobiazg, który zrobią na oczach. Mennica odbije plakietki, a kuźnia wykona np. podkowę na szczęście. Można też zwiedzić dwór szlachecki wraz z zabudową pomocniczych budynków, kościół, spichlerze, świruny i wszelkie inne drewniane cudeńka wiejskiej cieszności. Skansen daje obraz dawnego życia. Można powiedzieć, dość prymitywnego i bez wygód cywilizacji, ale wcale nie biednego.



Teresa Żurawska, Mjölby, 17 lipca 1973 r.

* * *

Śniadanie podano w ogrodzie. Wisząca kanapa pod baldachimem, stół i ogrodowe meble. Sery różnych gatunków, nie krojone, leżały na deseczkach, dżem owocowy, kawa z termosu, mleko w dzbanku. Zachwycił mnie chleb. Nie miał kształtu bochna, chociaż był okrągły. Płaskie krążki, grubości około połowy centymetra i średnicy prawie półmistrzowej, dziurkowany, gęsto posypany białym makiem lub siemieniem lnianym. Bardzo mi smakował.

Jedziemy do Tyresö. Pałac - rezydencja szlachecka na południowy wschód od Sztokholmu, położony jest nad fiordem. Zwiedzamy powozownię pałacową z bardzo ciekawymi karetami z siedemnastego wieku. Sceneria do bajki. Ogromna powozownia o kilku salach, całkowicie nie odkurzana. Pył pokrył wszystko na szaro, a pajęczyny zasnuły gęsto wszelkie kąty i połączyły się w wymyślnych zawijasach z lampy, sufitu, bud powozowych, łapiąc nas i omotując nasze głowy i ręce.

- Czas nagli, więc siadamy do samochodu i jedziemy z powrotem do Sztokholmu oglądać królewskie karety paradne w Livrustkammaren, wówczas jeszcze w gmachu Nordiskamuseet. U wejścia wita nas uroczą pani w wieku średnim, bardzo elegancka i zaprasza na ekspozycję. Pani ta, dowiedziawszy się, że jestem Polką, zaczęła mówić po polsku, ale Polką nie była, po prostu poliglotka w charakterze hostessy. Nigdzie więcej nie spotkałam się z takim stanowiskiem w muzeach. Trzeba przyznać, że było to bardzo miłe. Pełna zachwyty i podziwu dla wspaniałych karoc z ubiegłych wieków i sposobu ich konserwacji, zapragnęłam zobaczyć dzisiejszą, użytkową stajnię i powozownię oraz apartamenty Bernadottów w zamku królewskim. Była właśnie uroczysta zmiana warty z orkiestrą i popisami. Wieczorem pałac Drottningham (też do zwiedzania). Wnętrza urocze, ale tylko wtedy dostępne, gdy nie ma rodziny królewskiej i drewniany teatrzyk, bez światła elektrycznego, nie zmieniany od osiemnastego wieku. Właśnie dawano operę kameralną Mozarta „Cosi fan Tutte”, przygotowaną gościnnie przez zespół z Berlina Zachodniego. Poziom królewski, fotele dla dworu, służba w strojach z epoki witała trzymając w rękach wieloświecowe, barokowe kandelabry. Do oglądania wystawiono w foyer kostiumy teatralne i rekwizyty z osiemnastego wieku. Poczulałam się jak dama dworu z tamtej epoki mając u boku uroczego barona w muszce.



Axel Hermelin, 1974 r.

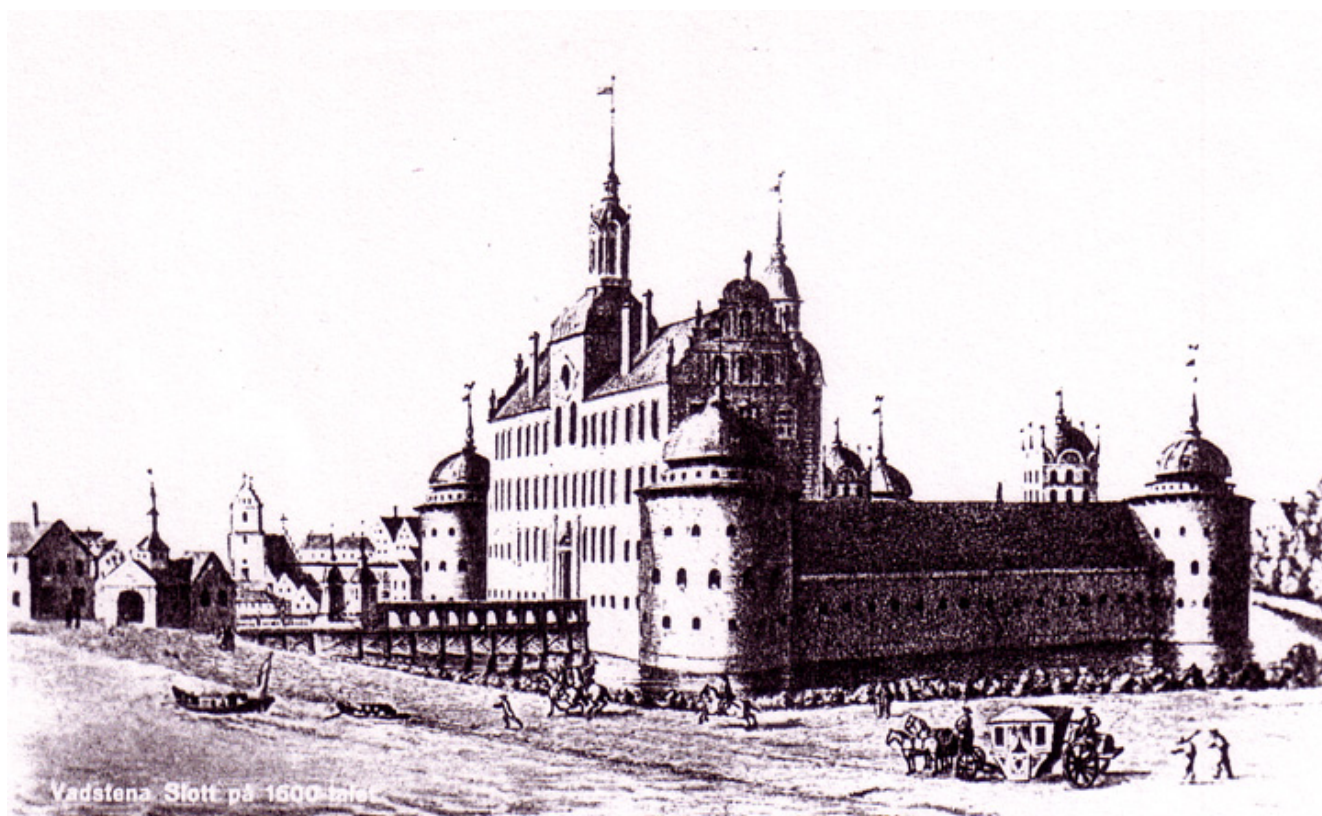
* * *

Opuszczamy stolicę udając się do Mjölby, odległego o 240 km na zachód. Po drodze mała rezydencja królewska w Tülgarden, położona na cyplu półwyspu wciskającego się między wyspy i wysepki. Krajobraz z tarasu rozległy i bardzo malowniczy. Wewnątrz pałacu dekoracja na ścianach w stylu Gustawa III, w jednym gabinecie podłoga pokryta rokokowym malowidłem na płótnie, inne intarsjowane w figury, co jest wyjątkowe. Oprowadzała mnie zażenowana swym wakacyjnym strojem, pierwsza dama dworu, jak się okazało żona marszałka. Pałac

otoczony jest parkiem przechodzącym w las. Tam szukaliśmy grobu koni królewskich Gustawa VI tak, tak - to u nich normalne!

Im bliżej byliśmy celu, tym rozmowy schodziły z nurtu profesjonalnego na towarzyski. Najwyraźniej byłam przygotowywana do wizyty, jaką mieliśmy zapowiedzianą na wieczór. Słyszę, że Szwedki wkładają na wieczór długie suknie, złote pantofelki, kolie z brylantów. Odpowiadam, że nie mam długiej sukni wieczorowej, ani złotych pantofli, ani kolii z brylantów - czyż więc mogę być zaproszona? - Na to otrzymałam szeroki uśmiech i skinienie głową.

Była to pamiętna dla mnie wizyta w domu pisarza szwedzkiego, Svena Stolpe, znanego również w Polsce z książek o św. Brygidzie, która żyła w epoce gotyku (1303-1373). Założyła w miejscowości Vadstena klasztor wraz z kościołem, istniejący do dzisiaj. Zachowały się w nim szaty liturgiczne, ornaty z jej czasów.



Vadstena, zamek Gustawa Wazy, XVII w, Szwecja.

Vadstena jest maleńkim miasteczkiem, ogromnie interesującym. Oprócz wymienionych zabytków sakralnych, znajduje się tam ponure zamczysko z 1545 roku - rezydencja króla Gustawa Wazy, z czterema bastcjami w narożach - otoczone wodą sztucznie doprowadzą z jeziora Watter, nad którym leży Vadstena. Ze wzruszeniem oglądałam średniowieczny szpital dla ubogich - mały dom murowany z czerwonej cegły, o jednym piętrze, z wykusikiem i z okiennicami.

Kiedyś przecież w każdym mieście takie istniały, zawsze na uboczu, a często poza murami obronnymi miasta. Dzisiaj nazwalibyśmy je hospicjami.

Jedziemy autostradą Sztokholm - Malmö. Ruch niesamowity, droga nudna, więc zabawiamy się rozmową o Italii i jej urokach, o wyspie Ischia, o małej miejscowości Macerata nieopodal Civitanova nad Adriatykiem. Jest tam miejskie muzeum bardzo interesujące, posiadające duży i ciekawy zbiór pojazdów konnych. Co jakiś czas mijamy na szosie gumowe przewody położone w poprzek drogi. Pytam, co to takiego i otrzymuję odpowiedź, że są to liczniki rejestrujące liczbę przejechanych samochodów. Test na wytrzymałość nawierzchni? - nie bardzo rozumiałam.

W innym miejscu zainteresowały mnie dodatkowe wybetonowane drogi bardzo starannie utrzymane, które znajdowały się w szczerym polu lub w pobliżu lasu. Okazało się, że są to pasy startowe dla wojskowych samolotów. Wszędzie ogromny ład, pola uprawne daleko od szosy, oddzielone zielenią, parkingi, dla kierowców, miejsca odpoczynku. Można odpocząć, zjeść, wypić kawę, umyć się, a nawet wziąć prysznic, nie mówiąc już o podręcznych zakupach.

Nas oczekuje pani Inger i dzieci, więc wypijamy pospiesznie kawę i jedziemy dalej. Na trasie dwa ważne i duże miasta: Norköping i ośrodek uniwersytecki - Linköping. Stąd do Mjölby już niedaleko. Przyjechaliśmy na czas. Szybko szykujemy się na wizytę. Kąpiel w ogromnej, cudownej łazience, makijaż, sukienka raczej wizytowa niż wieczorowa, robiona ręcznie szydełkiem z ciemnoniebieskiej wełny, ażurowa i sztuczna biżuteria ku podniesieniu nastroju. Moja Inger włożyła przez solidarność ze mną też krótką garsonkę, błękitną z białymi dodatkami. Znów samochód i znów droga.

Mała miejscowość nad jeziorem Sömmen nazywa się Maleksander. We dworze, żywo przypominającym nasze klasyczne, osiemnastowieczne pałacyki, mieszkają pp. Stolpe, którzy właśnie tego dnia obchodzili uroczyste swoje srebrne wesele (25 lat małżeństwa). Gości zjechało niemało. Przyjęcie daleko odbiegało od amerykańskich *party's* i atmosferą i organizacją. W przedpokoju należało złożyć wizytówki na tacę, którą zabrała natychmiast służąca w białym czepeczku i fartuszkach. Po chwili drzwi salonu otworzyły się szeroko i pani domu - dama drobna, szczupła i ujmująca wyszła na powitanie. Podano jakieś mini przekąseczki do drinków i na razie goście stali, witali się, rozmawiali wszyscy ze wszystkimi. Później poproszono do dużej jadalni, gdzie cały pokój wypełniony był długim

stołem. Karteczki z nazwiskami wyznaczały każdemu należne mu miejsce. Nazwano mnie „madame la Pologne” i posadzono na miejscu honorowym, po prawej stronie gospodyni. Zaszczyt niewątpliwie, ale jakaż męka, zwłaszcza, że przede mną stało sześć przeróżnych kieliszków, po obu stronach talerza leżały różnorakie sztuczki, jakich nie widziałam w swoim życiu, nie wiedziałam do czego mogą służyć. A tu wszystko zaczynało się od mojej skromnej osoby. Podawał służący. Nabierałam i czekałam aż pani domu zacznie. W ten sposób chytrze podpatrywałam co do czego i jak. Przebrnęłam jakoś dzięki serdecznej atmosferze i wielkiemu zainteresowaniu Polską.

W białą noc zaproszono na przejażdżkę po jeziorze i to było cudowne. Potem bawiliśmy się w ogrodzie bulami (ciężkimi kulami), które znałam wcześniej z literatury. Nad ranem Sven Stolpe własnoręcznie przygotował pierwsze śniadanie, bez służby i bez pompy. Piliśmy sznaps, jedliśmy słone śledzie z rodzynkami (brr!), sery na deskach, i słodką szynkę. Gdyby nie było w tym nic niezwykłego, pewnie zapomniałabym.